

Rozum i przemoc

Autor tekstu: **Krzysztof Szymborski**

„(...) sekta z tych samych powodów odnosi się podejrzliwie do artysty d do naukowca: twórcy z natury rzeczy skłonni są do zdrady, przedkładając nade wszystko prawdę lub piękno”.

Roger Caillois, *"Żywioł i ład"*

Pogarda i nieufność, z jaką sekta wyznawców Hitlera odnosiła się do uczonych, była naturalnym owocem ideologii odrzucającej racjonalizm i uniwersalne wartości historyczne. Narodowy socjalizm był w gruncie rzeczy — jak sformułował to lapidarnie Joachim Fest — politycznie zorganizowaną obrazą rozumu. Bez wykształconej warstwy inteligenckiej, a więc i bez uczonych, trudno jednak administrować nowoczesnym państwem. Nic więc dziwnego, że w 1931 r. wydawca nacjonalistycznej gazety, Richard Breiting, wykorzystując sposobność rozmowy z Adolfem Hitlerem, spytał go, skąd partia po przejściu władzy weźmie mózgi niezbędne dla sprawnego działania aparatu państwowego. „Ja będę mózgiem” — odpowiedział Hitler, a po chwili dodał z sarkazmem: „Czy sądzi Pan, że niemiecka klasa średnia, ten kwiat inteligencji, nie zgodzi się nam służyć i oddać swych umysłów do naszej dyspozycji? Niemiecka klasa średnia postawiona została przed faktem dokonanym; zrobimy z nią to, co będziemy chcieli”. Przyszłość pokazała, że się nie mylił.

W jaki sposób stało się możliwe, że intelektualna elita kulturalnego i wykształconego narodu, nie wyłączając znacznej części jego wybitnych uczonych, sprowadzona została do roli powolnego — jeśli nie obojętnego - narzędzia w rękach prymitywnego demagoga? Na to pytanie, stanowiące jedną z ponurych zagadek naszego wieku, nie ma krótkiej i prostej odpowiedzi, a każda próba jej znalezienia musi zacząć się od rekonstrukcji zdarzeń.

Niemieckie środowisko naukowe lat trzydziestych nie było, rzecz jasna, jednorodne. Podziały były głębokie i wielorakie. W przypadku każdej dyscypliny naukowej natężenie wywieranej z zewnątrz i od środka presji ideologicznej, politycznej i administracyjnej było inne. Rozmaita była też wewnętrzna struktura poszczególnych środowisk. Interesujące wydaje mi się więc porównanie losów, jakie stały się w hitlerowskich Niemczech udziałem nauk biegunowo odmiennych — socjologii i filozofii z jednej, fizyki zaś z drugiej strony.

*

Socjologia i filozofia są dziedzinami szczególnie narażonymi na roszczenia panującej ideologii i szczególnie wobec nich bezbronniymi. Stanisław Tyrowicz w wydanej w 1970 r. rozprawie („Światło wiedzy zdeprawowanej. Idee niemieckiej socjologii i filozofii 1933- 1945”) zwrócił uwagę, że niemiecka socjologia — mająca skądinąd znakomite tradycje — poniosła, właściwie już w latach dwudziestych, fatalną klęskę. Choć socjologowie Niemiec weimarskich lubili nazywać uprawianą przez siebie dyscyplinę „naukową świadomością społeczeństwa mieszczańskiego”, samoświadomość ta zawiodła tak dalece, że na przykład Karl Mannheim przekonany był w styczniu 1933 r., że narodowi socjaliści nie mają szans utrzymania się przy władzy dłużej niż dwa miesiące. Socjologia niemiecka nie potrafiła przed 1933 r. odpowiedzieć na pytanie: „czym jest narodowy socjalizm?”, Ernst Cassirer zaś wyznał po latach z żalem, że „szerząca się mitologia polityczna hitleryzmu wydawała mu się tak absurdalna i niedorzeczna, fantastyczna i zabawna, że nie był w stanie zajmować się nią poważnie”. Ta zadziwiająca ślepotą na aktualną polityczną rzeczywistość wydaje się — do czego powrócę w dalszej części tego szkicu — głęboko zakorzeniona w niemieckiej tradycji naukowej, oddziałującej na postawy nie tylko socjologów, lecz całego środowiska akademickiego. W przypadku socjologów zamykanie się w wieży z kości słoniowej miało jednak konsekwencje szczególnie złowrogie. Nie brak historyków, którzy w bezradności nauk społecznych wobec zjawiska narodowego socjalizmu, kształtującego się przecież co najmniej dziesięć lat, dopatrują się jednej z istotnych przyczyn upadku Republiki Weimarskiej. Zdaniem Cassirera, właśnie dyscyplina zajmująca się *ex professione* teorią i badaniem zjawisk politycznych — pomijając nieliczne wyjątki, nie spełniła swych zadań.

Socjologia niemiecka została więc przez hitleryzm postawiona wobec faktu dokonanego.

Po dojściu Hitlera do władzy żaden socjolog ani filozof nie mógł już uchronić się przed koniecznością wyraźnego samookreślenia swego stosunku wobec dyktatury. Quasi-legalny charakter reżimu, w znacznej mierze zapewne i zwykły strach sprawiały, że bardzo niewielu zdecydowało się na otwarty sprzeciw. Zgodnie ze słowami Karla Jaspersa, uczonego w systemie hitlerowskim miał raczej do wyboru „albo podporządkować się określonej postaci dogmatycznej wiedzy totalnej, albo wszystkie możliwości myślenia i poznawania, stanowiące narzędzie jego egzystencji, pozostawić w zawieszaniu”.

Istniała jeszcze, rzecz jasna, trzecia możliwość — emigracja. I tu historyk rozważanego przez nas okresu dziejów ma do odnotowania fakt szczególnie: emigracja z Niemiec hitlerowskich była niemal wyłącznie emigracją wymuszoną, wygnaniem. Rzadkie były wypadki protestu w formie samorządnego porzucenia katedr uniwersyteckich. Stanisław Tyrowicz pisze, że nie jest mu znany ani jeden taki akt sprzeciwu w środowisku socjologów i filozofów. Wśród fizyków, których losy w Trzeciej Rzeszy są mi znane lepiej, byli tacy, którzy opuszczając Niemcy dokonywali — w swym subiektywnym przekonaniu - świadomego wyboru. Jednak wszelka dyskusja — a po wojnie toczono ich wiele — czy uczeni niemieccy winni byli, nie mogąc czynnie sprzeciwić się złu, „otrząsnąć proch ze swych sandałów” i udać się na obczyznę, jest — moim zdaniem — czystą spekulacją, pozbawioną empirycznych odniesień.

Przejęcie władzy przez Hitlera miało charakter quasi-legalny i w taki też sposób odbywało się wymuszanie decyzji opuszczenia Niemiec na osobach „światopoglądowo” bądź „rasowo obcych”. Hitlerowskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, kierowane przez Wilhelma Fricka, potrzebowało nieco ponad dwa miesiące, by przygotować ustawę o rekonstrukcji służby państwowej. Postanowienia tej ustawy, która weszła w życie 7 kwietnia 1933 r., były proste: by przywrócić urzędom niemieckim „narodowy” charakter i uprościć administrację, należy z państwowych posad usunąć ludzi niekompetentnych, politycznie niepewnych i nie mogących się wykazać aryjskim pochodzeniem. Ustawa ta dotyczyła także pracowników wyższych uczelni; jak precyzował suplement z 6 maja — również tych, którzy, jak prywatni docenci, nie znajdowali się na państwowej liście płac.

Wobec tej ostatniej kategorii osób ustawa z 7 kwietnia przewidywała pewne wyjątki, dopuszczając pozostawienie na urzędach tych „nie-Aryjczyków”, którzy pracowali w administracji przed pierwszą wojną światową, walczyli podczas tej wojny na froncie bądź stracili w niej ojca lub syna. Było to pozorne, taktyczne ustępstwo wobec prezydenta Hindenburga i — jakkolwiek w niektórych przypadkach owa klauzula wyłączająca wzbogaciła warianty personalnych rozgrywek — niemieckie wyższe uczelnie „oczyszczone” zostały z osób żydowskiego pochodzenia jeszcze przed wprowadzeniem w życie ustaw norymberskich z 1935 r.

Liczba profesorów i wykładowców szkół wyższych, którzy na skutek swych przekonań lub pochodzenia opuścili Niemcy hitlerowskie, przekracza trzy tysiące. Choć w gronie tym socjologowie stanowili skromną liczebnie grupkę, na emigracji znalazło się — według oszacowań niektórych badaczy — dwie trzecie uczonych uprawiających tę dyscyplinę w Republice Weimarskiej. Wyjechali uczeni najbardziej znaczący — Adorno, Fromm, Mannheimowie — i w rezultacie, jak zauważa Tyrowicz, to uchodźcy stanowili w okresie hitleryzmu jedyną frakcją, która chciała być dziedzicem niemieckiej tradycji socjologicznej. Dodajmy — jedyną, która też, dzięki materialnym warunkom stworzonym niemieckim socjologom emigrantom w Stanach Zjednoczonych, mogła ten zamiar wcielić w życie.

Pozostawimy jednak przy tych, którzy Niemiec nie opuścili. Niechęć do wyjazdu — jak wiemy, raczej powszechna w środowisku akademickim — nie oznaczała jeszcze gotowości do współpracy z reżimem hitlerowskim. W Niemczech działał nadal Leopold von Wiese, redaktor zlikwidowanego w 1934 r. kolońskiego kwartalnika socjologicznego. Nadal pisał prace, które ogłaszał za granicą, pozbawiony możliwości nauczania Alfred Weber, brat Maxa. Ci jednakże socjologowie, którzy w nowym systemie pragnęli zachować choć część formalnych przywilejów akademickich, musieli ze sformułowanej przez Jaspersa alternatywy wybrać człon pierwszy. Reżim wymagał od nich identyfikacji, a to oznaczało uprawianie socjologii skrajnie tendencyjnej, zaangażowanej, odrzucającej zarówno uniwersalne, wspólne nauce wartości podstawowe, jak i tradycję. Granice obiektywizmu wyznaczała racja stanu Trzeciej Rzeszy. Czołowy ówczesny cenzor niemieckiej nauki, profesor Ernst Kriek, oficjalne stanowisko w tej kwestii sformułował niedwuznacznie, pisząc, że „obiektywizm nauki to nic innego jak skłonność i postawa internacjonalistyczna, a więc nauka pozorująca brak zakorzenienia, oparta na podstawie fikcyjnej idei ludzkości, występująca z roszczeniami do prawomocności powszechnej”.

Wybór politycznego konformizmu nie dla wszystkich socjologów niemieckich był wyborem bolesnym. Niektórzy, jak W. E. Mühlmann, uznali zwycięstwo hitleryzmu za „triumf wiary nad sceptycyzmem”; Carl Schmitt stworzył „naukowe” postawy koncepcji politycznego totalitaryzmu, tworząc formułę „swój — wróg” i dowodząc, że pojęcie wrogości nie musi mieć charakteru i sensu prywatnego. Istnieje — jego zdaniem — „wrogość socjologiczna” wymierzona we wroga kolektywnego, jedynym zaś gwarantem mogącym człowieka przed tym wrogiem obronić jest ujednoczone politycznie państwo, dysponujące pełnią władzy nad życiem i śmiercią obywateli. Nad stworzeniem „socjologii narodowej” pracowało wcale niemałe grono uczonych. Część z nich, jak M.H. Boehm, Hans Freyer, Max Rumpf, Andreas Walther czy Günther Ipsen, ku narodowemu socjalizmowi grawitowała już w okresie weimarskim. Inni zgłosili swój akces po styczniu 1933 r.

Nie będę wdawał się w rozważania nad tym, czym była i jakimi problemami zajmowała się „socjologia narodowa”. To temat zbyt rozległy. Kończąc z socjologią godzi się jedynie przypomnieć jeszcze, że nie wszyscy przecież przedstawiciele tej nauki w Niemczech całkowicie „poddali się duchowi czasu”. Byli tacy — niezbyt, przyznać trzeba, liczni — jak Werner Sombart, Alfred Vierkandt czy wspomniany już von Wiese, którzy nadal próbowali głosić poglądy niezgodne z narodowosocjalistyczną doktryną. Zepchnięto ich na margines życia akademickiego, to prawda. „Naród niemiecki nie ma do Pana zaufania” — oświadczył kiedyś Leopoldowi von Wiese pewien profesor socjologii. Zepchnięcie na margines nie oznaczało jednak jeszcze zamknięcia za drutami. Niektórzy mogli ogłaszać swe prace, wszyscy mogli pisać. Gdy skończyła się wojna, szuflady biurka „wewnętrznych emigrantów” okazały się jednak puste.

*

Niemieckie środowisko filozoficzne także zdziesiątkowane zostało przez wymuszoną emigrację. Spośród grona wielkich pozostali jednak w kraju Edmund Husserl, Karl Jaspers, Ernst Cassirer i Martin Heidegger. Ten ostatni piastował zresztą w okresie Trzeciej Rzeszy godność rektora uniwersytetu we Fryburgu i był członkiem NSDAP... Reżim hitlerowski domagał się od filozofów spełnienia wyraźnie określonej funkcji usługowej - stworzenia filozofii na miarę ustanowionego ładu społecznego; takiej, która — mówiąc słowami Frania Böhma — wzięłaby na siebie obowiązek „umacniania własnej rasy”. Do wykonania tego zadania nie byli niezbędni myśliciele wybitnego formatu. Z niemałym zapałem podjęli się go ludzie w rodzaju cytowanego właśnie Böhma, Hermanna Glocknera, Ernsta Krieka czy Alfreda Baeumlera — postaci z drugiego planu, u których uczucie zawiści i frustracji przeradzało się często w pogardę dla tradycyjnych wartości nauki. W aktach personalnych Baeumlera znalazła się na przykład następująca adnotacja: „W walce o nadanie nauce nowej postaci oraz o narodowe odrodzenie szkoły stoi B. w pierwszym szeregu. Walczy on z całym zapamiętaniem przeciwko intelektowi”. Ernst Kriek pragnął w ogóle odrzucić filozofię zastępując ją „narodowopolityczną antropologią”, Böhme zaś uważał, że filozofia może usprawiedliwić swe istnienie jedynie dowodząc, jak przydatna jest w walce z racjonalizmem i wrogimi światopoglądami.

Filozofowie Trzeciej Rzeszy nie stworzyli owej oczekiwanej filozofii „rodzaju niemieckiego”. Przyczyną tego niepowodzenia nie była jednak ich intelektualna ułomność, której im zresztą przypisywać nie należy. Po prostu zadanie było niewykonalne. Jaka bowiem miała być ta filozofia? Panowała zgoda, że miała być ona „niemiecka”. Już jednak odpowiedź na pytanie: *was ist deutsch?* — budziła zawzięte spory, w których odmieniano pojęcia mętne i jawnie odwołujące się do mitów, takie jak „krew”, „rasa”, „duch”, „dusza”, czy „sposób myślenia”.

Dążność do nadania panującej doktrynie filozoficznego wyrazu sprzyjała jedynie degradacji filozofii. Hitlerowcy zresztą — jak zauważył drezdeński filolog Victor Klemperer — samym wyrazem „filozofia” posługiwali się niechętnie, zastępując go „światopoglądem” (*Weltanschauung*). „Państwo stanu wyjątkowego” mówiąc o sobie posługiwało się zresztą mianem „państwo światopoglądowe”. Ów światopoglądowy charakter wyrażał się między innymi tym, że do zadań państwa należało strzeżenie i umacnianie światopoglądu. Skąd jednak konstruktorzy tego światopoglądu czerpać mieli inspirację, skoro zawiodła filozofia? Pytanie to przywodzi na myśl odpowiedź, jakiej udzielił Hitler Breitingowi w przytoczonej przeze mnie na wstępie rozmowie. To on, Führer, miał być mózgiem. Intelektualne ubóstwo wodza Trzeciej Rzeszy nie stwarzało jednak narodowosocjalistycznym filozofom większych możliwości budowania na podstawie jego myśli jakichkolwiek światopoglądowych systemów.

Radzono sobie z tym problemem w sposób prosty. Alfred Baeumler, którego poglądy

stanowiły reprezentatywny wykładnik hitlerowskiego *Weltanschauung*, głosił kult czynu, akcji, działania. Czyn ów miał być następstwem nie myśli, lecz decyzji podejmowanej z „niepojętej głębi”. W „niepojętej głębi” duszy Führera zrodził się czyn największy — stworzenie nowych Niemiec. Zadaniem filozofa było odczytać myśl w tym czynie wyartykułowaną.

„Odczytanie” Baeumlera zawiera pochwałę przemocy, myśl o „sprawiedliwym” porządku polegającym na panowaniu silnych, apoteozę autorytarnego ładu i pochwałę systemu wodzostwa, kult totalitarnego państwa. Z drugiej strony jest w jego pismach pogarda dla humanizmu, demokracji, liberalizmu, lekceważenie intelektu i brak wiary w kompetencje rozumu ludzkiego.

Rzecz jednak ciekawa — ta życzliwość czy wręcz entuzjazm, żywiony dla państwa hitlerowskiego przez lojalną, „zaangażowaną” część środowiska filozoficznego i socjologicznego, nie zostały odwzajemnione. Gerhard Krüger, wypowiadając się w imieniu reżimu, pisał o socjologii, że „nie ma ani jednego przedstawiciela tej dyscypliny, który by w pewien sposób nie uległ fałszywym poglądom przenikającym do niej pod wpływem marksizmu”. Oficjalna nieufność hitlerowskiej władzy wobec akademickiej filozofii była jeszcze głębsza. Pomimo ostentacyjnej afirmacji systemu przez część jej przedstawicieli była ona dyskredytowana, ograniczana i zwalczana. Znajdowała się na dodatek w sytuacji węża zjadającego własny ogon. Tendencje hitlerowskie silne były bowiem w samym środowisku. „Po co filozofia istnieje jeszcze dziś, tego sarna już nie wie” — szydził Ernst Kriek. Ernst Bergmann, profesor zwyczajny filozofii z Uniwersytetu Lipskiego, dodawał: „Mam nadzieję, że filozofia nie będzie nadal sterczeć niczym zgorzałe i uschnięte drzewko pośród niemieckiej wiosny”.

Do likwidacji filozofii niemieckiej wszakże nie doszło i publiczna działalność filozoficznego środowiska Trzeciej Rzeszy była dość żywa. Odbywały się zjazdy, wygłaszano prelekcje, publikowano rozprawy i nauczano na uniwersytetach. „Dopiero *post factum* — pisze Tyrowicz — miano pojąć, czym była ta działalność rzeczywiście — współuczestniczeniem w systemie, dla którego już żadna filozofia usprawiedliwienia znaleźć nie mogła”.

*

Zarówno przedmiot, jak metoda badawcza dawały pracującym w hitlerowskich Niemczech fizykom większe niż socjologom czy filozofom szansę zachowania intelektualnej niezawisłości i przeciwstawienia się roszczeniom totalitarnej władzy. Nie oznacza to, że fizyka i inne nauki matematyczno-przyrodnicze tworzyły w życiu umysłowym Trzeciej Rzeszy oazę, gdzie wierni swemu szlachetnemu powołaniu uczeni oddawać się mogli zgłębianiu tajemnic Natury, nie zwracając uwagi na pieniące się wokół duchowe i moralne barbarzyństwo. Fizycy niemieccy także przecież byli obywatelami państwa totalitarnego i stanowisko Urzędu Nauki NSDAP, w myśl którego „duch nauki prawdziwej to pokrewieństwo z państwem”, ich także do czegoś zobowiązywało. Wszystkich uczonych dotyczyły przeprowadzone przez reżim zmiany struktury instytucjonalnej nauki czy rasistowskie ustawy. Polityczne podziały wreszcie, jakie spowodował hitleryzm w całym społeczeństwie, przenosiły się też na środowisko fizyków, wśród których znaleźli się zarówno „wrogowie” Rzeszy, zdeklarowani zwolennicy nowego systemu, jak i ludzie „przejściowo wyobcowani”. Jak wszędzie tak i tu wrogów, zarówno „rasowych”, jak ideologicznych, należało zniszczyć, zwolenników nagrodzić, a element niepewny zneutralizować. Pod tym względem sytuacja socjologii, filozofii i fizyki była zasadniczo podobna. Szczególny charakter nauk przyrodniczych sprawiał jednak, że neutralizacja potencjalnych wrogów nie musiała w przypadku fizyków oznaczać kresu ich naukowej kariery. Przedstawiciel nauk społecznych miał do wyboru: milczeć lub stać się apologetą reżimu. Fizyk mógł wycofać się do swego laboratorium.

Osobowość samego Hitlera miała też zapewne niemały wpływ na los nauk ścisłych w Trzeciej Rzeszy. Uważając się za artystę, któremu jedynie obowiązek spełnienia dziejowej misji politycznej przeszkodził w pełnym wykorzystaniu wrodzonego talentu, Hitler był zupełnym ignorantem w dziedzinie fizyki czy chemii. Co więcej, nie doceniał ani praktycznego znaczenia nauk przyrodniczych dla wysiłku wojennego, ani też ich społecznych i ideologicznych implikacji. Jego stosunek do nauki symbolizuje fakt, że podczas mobilizacji w roku 1939 zadbał o to, by uchronić od służby Wojskowej całą armię artystów — głównie zresztą śpiewaków i aktorów — których dokumenty wycofane zostały z komisji poborowych i zniszczone osobiście przez Hitlera. O tym, że także naukowcy okazać się mogą bardziej przydatni w laboratoriach niż w okopach, zdołano go przekonać — było to głównie zasługą Speera i Göringa — dopiero w połowie roku 1943. Wówczas jednak spośród sześciu tysięcy naukowców, których zdecydowano się wycofać z frontu, jednej trzeciej już nie odnaleziono. Specjalne względy okazywane przez Hitlera artystom miały jednak w ostatecznym rachunku zabójcze dla sztuki konsekwencje. Zły

smak wodza Trzeciej Rzeszy, który obronę sztuki niemieckiej przed „degeneracją” uważał za jedną ze swych powinności wobec narodu, stał się z czasem obowiązującym kanonem.

Fizyka, pozbawiona szczególnej ochrony, była też jednak do pewnego stopnia zabezpieczona przed bezpośrednią ingerencją ze strony politycznego kierownictwa. Nauki społeczne, znajdujące się — jako potencjalne narzędzie manipulacji społecznymi nastrojami — w orbicie zainteresowań Ministerstwa Propagandy, były pod tym względem w gorszej sytuacji. Straty kadrowe, jakie na skutek działania ustawy z 7 kwietnia 1933 r. poniosła fizyka niemiecka, nie były procentowo tak wysokie jak w przypadku socjologii, ale mimo to należały do najcięższych w całej niemieckiej nauce. Kraj opuściło ponad 25 procent fizyków. Przyczyną dymisji było przeważnie żydowskie pochodzenie, w nielicznych przypadkach — na przykład *casus* Otto Neugebauera, pomówionego o prokomunistyczne sympatie — kierowano się względami ideologicznymi. Jakkolwiek dziś z historycznej perspektywy wydaje się oczywiste, że uczeni niemieccy żydowskiego pochodzenia zasadniczo skazani byli od początku na emigrację (wyjątkiem jest Gustav Hertz, który cały okres hitlerowski przeżył w Niemczech), jeśli nie na fizyczną eksterminację, nie było to równie oczywiste na początku roku 1933. Wielu ludziom zdawało się, że mają autentyczny wybór, i starali się świadomie go dokonać.

Przypadek Alberta Einsteina było stosunkowo prosty. W osobie twórcy teorii względności ucieleśniało się wszystko to, czego hitlerowcy najbardziej nienawidzili — internacjonalizm, pacyfizm, liberalizm, nie mówiąc już o syjonizmie i aktywnym poparciu, jakiego wielki uczyony udzielał rządowi Republiki Weimarskiej.

W chwili przewrotu hitlerowskiego Einstein przebywał za granicą. W marcu 1933 r. wysłał list do Pruskiej Akademii Nauk z prośbą o skreślenie go z listy jej członków. W oficjalnej odpowiedzi, datowanej 7 kwietnia, władze akademii oskarżyły Einsteina, że swym postępowaniem od dawna przysługiwał się nie tylko wrogom nowego rządu, ale całego narodu niemieckiego. „(...) było to dla nas gorzkie, bolesne rozczarowanie, które prawdopodobnie i tak zmusiłoby nas do rozstania się z Panem, nawet gdybyśmy nie otrzymali Pańskiej rezygnacji”. Miesiąc później książki Einsteina, wraz z innymi dziełami sprzecznymi z „duchem niemieckim”, publicznie spalono zostały na stosie.

Losów wszystkich niemieckich fizyków żydowskiego pochodzenia nie sposób tu przedstawić. Trzy szczególne przypadki zasługują jednak na przypomnienie. James Franck, Richard Courant i Fritz Haber należeli do grona tych pracowników państwowych, którzy zgodnie z literą ustawy z 7 kwietnia mogli zachować swe stanowiska. Dwaj pierwsi walczyli w czasie wojny na froncie, zasługą Habera było natomiast rozwinięcie niemieckiej produkcji gazów bojowych — za co zresztą znalazł się na alianckiej liście przestępców wojennych. Pomimo tych „zasług” wszyscy trzej zostali bardzo szybko wyeliminowani z życia akademickiego.

W przypadku Francka pretekstem stał się fakt, że zdecydował się zamaniifestować swój protest przeciwko polityce nowych władz, ogłaszając publicznie swą rezygnację ze stanowiska dyrektora II Instytutu Fizyki w Getyndze. „Będę usiłował kontynuować moją pracę naukową w Niemczech” — oświadczył w liście przesłanym do „Göttinger Zeitung”. W rezultacie Franek stał się obiektem nagonki prasowej, do której przyłączyła się grupa wykładowców uniwersytetu w Getyndze. Oświadczyli oni, że jego rezygnacja była aktem sabotażu, i wyrazili nadzieję, że rząd przyspieszy dzieło oczyszczania nauki niemieckiej z wrogich elementów.

Podobny scenariusz powtórzył się w przypadku Habera, który przez złożenie rezygnacji zaprotestował przeciwko dymisji swych młodszych współpracowników. Był on postacią tak ważną w berlińskim środowisku naukowym, że Max Planck zdecydował się interweniować w jego sprawie u Hitlera. „Nie mam nic przeciwko Żydom jako takim — oświadczył mu Hitler. — Wszyscy Żydzi są jednak komunistami, a to są moi wrogowie”.

Courant wybrał inną taktykę — postanowił trwać na swym stanowisku tak długo, jak się to okaże możliwe. Po otrzymaniu dymisji próbował przez kilka miesięcy odwoływać się od decyzji władz, lecz stopniowo stawało się dlań jasne, że jest to walka daremna. Wspominał później, że kiedy jego najmłodszy syn zapytał go, dlaczego nie chcą go przyjąć jak innych kolegów w szeregi Hitlerjugend, zdecydował się wyemigrować.

Nie wszyscy fizycy żydowskiego pochodzenia wyemigrowali z Niemiec w pierwszym roku rządów Hitlera. Lise Meitner na przykład znalazła azyl naukowy u Otto Hahna w Kaiser Wilhelm Institut i dopiero po okupacji Austrii uciekła do Holandii. Gustav Hertz znalazł pracę w firmie Siemens i przetrwał w Niemczech cały okres wojny.

Uczonymi, którzy w stosunku do fizyki zamierzali spełnić zadanie, jakiego w socjologii i filozofii podjęli się Carl Schmitt, Karl Müller czy Ernst Bergmann, byli Philipp Lenard i Johannes Racionalista.pl

Stark.

Nacjonalizm Lenarda ujawnił się początkowo w jego patologicznej wręcz niechęci do Anglików. Uważał on na przykład, że fizycy brytyjscy złośliwie uchylają się od uznania priorytetu niektórych jego odkryć, czemu dał wyraz między innymi w swej mowie wygłoszonej z okazji przyjęcia Nagrody Nobla w 1905 r. Jego antybrytyjska fobia przybierała niekiedy komiczne formy. James Franck wspomina, że podczas pobytu na froncie zachodnim w czasie pierwszej wojny światowej otrzymał od Lenarda list, w którym ten namawiał go do szczególnej bezwzględności wobec Anglików, jako że ci nigdy nie cytowali uczciwie jego prac naukowych.

Antysemityzm Lenarda zrodził się nieco później, a głównym obiektem jego wrogości stał się Albert Einstein. Ekstrawagancki i prowokacyjny styl bycia Lenarda stał się w 1922 r. przyczyną incydentu, który w konsekwencji przyspieszył ewolucję jego poglądów ku narodowemu socjalizmowi. Kiedy w czerwcu tego roku zamordowany został przez prawicowych zamachowców minister spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej Walther Rathenau, dzień jego pogrzebu ogłoszony został dniem żałoby narodowej. Lenard uważał Rathenaua, jako Żyda i kosmopolitę, za wroga narodu niemieckiego i nie zgodził się na opuszczenie do połowy masztu flagi, wywieszanej na instytucie fizyki Uniwersytetu w Heidelbergu (był dyrektorem instytutu). Kiedy pod instytutem zebrała się wzburzona grupa robotników, Lenard stanął w oknie drugiego piętra i za pomocą węża przeciwpożarowego oblał tłum wodą. Konflikt zakończył się doprowadzeniem rozwścieczonego profesora do komisariatu, skąd został ,zwolniony dopiero po przybyciu prokuratora.

Upokorzenie, jakiego doznał dumny laureat Nagrody Nobla, doprowadziło do tego, iż nawiązał on bliskie więzi z narodowymi socjalistami. Choć oficjalnie wstąpił do NSDAP dopiero w 1937 r., już co najmniej od 1927 r. uczestniczył w rozmaitych przedsięwzięciach organizowanych przez Alfreda Rosenberga i Rudolfa Hessa, a incydent z dnia pogrzebu Rathenaua posłużył propagandzie hitlerowskiej do uczynienia Lenarda jednym z "męczenników" sprawy narodowosocjalistycznej.

Johannes Stark było człowiekiem o wyjątkowo trudnym charakterze, łatwo popadał w konflikty ze swym otoczeniem. Poważnej części fizyków naraził się już w 1920 r., kiedy postanowił założyć własne stowarzyszenie wykładowców fizyki, aby przeciwstawić się dominacji ośrodka berlińskiego. W 1922 r. zainteresował się przejściowo działalnością przemysłową i zrezygnował z katedry na uniwersytecie w Würzburgu. Kiedy postanowił jednak powrócić do działalności akademickiej, okazało się, że na żadnej niemieckiej uczelni nie ma dla niego posady (choć był laureatem Nagrody Nobla!), i przez jedenaście lat znajdował się w sytuacji outsidera.

W tym właśnie czasie, w 1930 r., przyłączył się do do NSDAP. „Zamknąłem drzwi mego laboratorium fizycznego i wstąpiłem w szeregi bojowników wspierających Adolfa Hitlera” — wspominał z dumą po dojściu narodowych socjalistów do władzy. Działalność Starka jako aktywisty partyjnego, związanego blisko z grupą „ideologów” skupionych wokół Alfreda Rosenberga, została nagrodzona — w maju 1933 r. minister spraw wewnętrznych w rządzie Trzeciej Rzeszy, Wilhelm Frick, mianował go dyrektorem Physikalisch-Technische Reichsanstalt. Nominacja ta wzbudziła niemal jednomyślny, choć daremny sprzeciw w środowisku fizyków.

Pod pozycją dyrektora PTR miała być, według zamiarów Starka, jedynie punktem wyjścia do realizacji bardziej ambitnych celów. Pragnął on w nauce niemieckiej odegrać tę rolę, którą w życiu społeczno-politycznym Niemiec spełniał Adolf Hitler. Postanowił po prostu zostać dyrektorem niemieckiej nauki. Poważną, na pozór, przeszkodę na drodze do tego celu stanowiła niechęć, jaką żywiła wobec Starka zdecydowana większość jego kolegów fizyków. Pod koniec 1933 r. przepadła — przede wszystkim na skutek stanowczego sprzeciwu Maxa von Laue — jego kandydatura na członka Pruskiej Akademii Nauk. Tę porażkę Stark postanowił jednak wykorzystać i w kwietniu 1934 r. wysłał do Hitlera propozycję gruntownej reorganizacji niemieckiej nauki. Polegać miała ona na stworzeniu nowej akademii nauk Rzeszy, której prezesostwo oferował „w imieniu niemieckich uczonych” samemu Hitlerowi. Wiceprezesem zostać miał natomiast któryś z „czołowych niemieckich badaczy” — zapewne sam Stark. Obok akademii powstałaby także — w myśl projektu — rada nauki Rzeszy oraz nowe ministerstwo badań naukowych (ministrem byłby oczywiście Stark). Te trzy instytucje sprawowałyby łącznie pełną kontrolę nad niemiecką nauką.

Hitler jednak nie okazał zainteresowania propozycją Starka. Była ona zresztą spóźniona. Nazajutrz po jej wysłaniu do Kancelarii Rzeszy powołane zostało do życia Ministerstwo Oświaty Rzeszy (wydzielone z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych), lecz szefem jego został kto inny — Bernard Rust. Niebawem okazał się on zaciekle wrogiem Starka, którego nie bez przyczyny

uważał za swego groźnego konkurenta. Początkowo zdawało się jeszcze, że wpływy Starka rosną — uzyskawszy prezesurę Niemieckiego Towarzystwa Naukowego mógł w dużym stopniu kontrolować rozdział funduszy na cele badawcze. Jego upadek był powolny i główną jego przyczyną stała się nie tyle wewnętrzna opozycja środowiska naukowego, ile intrygi w łonie hitlerowskiej elity władzy. Stark, któremu nie udało się zdobyć bezpośredniego poparcia Hitlera, w konflikcie z Rustem i Ministerstwem Oświaty postawił na Rosenberga. Przeciwnicy jego mieli natomiast ściśle powiązania z SS i armią. Pomimo pomocy Lenarda — a nawet Rudolfa Hessa — po kilku latach wzajemnych napaści, intryg i walk podjazdowych Stark zmuszony został do porzucenia swych ambitnych planów. W 1939 r. przeszedł na emeryturę.

Osobista porażka Starka nie oznaczała jeszcze całkowitej klęski „aryjskiej fizyki”. Z nią — jak już wcześniej wspomniałem — fizycy niemieccy uporali się sami. Mieli — trzeba przyznać — ułatwione zadanie. Nie tylko dlatego, że podeszły wiek jej twórców i polityczne intrygi uczyniły poważny wyłom w szeregach zwolenników tej pseudonaukowej doktryny; od chwili wybuchu wojny w postawie władz hitlerowskich wobec fizyki coraz wyraźniej zaczynał brać górę pragmatyzm. Kierujący machiną gospodarczą Niemiec ludzie pokroju Alberta Speera zdawali sobie sprawę z tego, że na wynik konfliktu zbrojnego większy wpływ niż „ideologiczna czystość nauki” będzie miała sprawność funkcjonowania niemieckiego przemysłu. Fizycy mogli się do podniesienia tej sprawności przydać. Aby zapewnić sobie ich współpracę, opłacało się zostawić im swobodę załatwiania własnych spraw we własnym gronie.

Jesienią 1940 r. na spotkaniu w Monachium, w którym uczestniczyli między innymi Carl von Weizsäcker, Georg Joos i broniący „aryjskiej fizyki” Rudolf Tomaschek, uchwalono większością głosów, że: fizyka nie może rozwijać się bez badań teoretycznych; szczególna i ogólna teoria względności wydają się słuszne; mechanika kwantowa jest jedyną teorią pozwalającą opisać procesy atomowe. Podpisany w wyniku tego spotkania dokument, który Arnold Sommerfeld nazwał „płaskim i trywialnym” stanowił taktyczny sukces „centrum” — tych wszystkich niemieckich fizyków, którzy niczego nie pragnęli tak bardzo jak tego, by móc uprawiać swą dyscyplinę kierując się wyłącznie uznanymi przez siebie, uniwersalnymi kryteriami metodologicznymi, bez ciągłej obawy przed ingerencją czynników politycznych. Jaka była postawa owego „centrum” wobec hitleryzmu? Jak reprezentujący je uczeni radzili sobie w Trzeciej Rzeszy?

*

W czerwcu 1936 r. urodzony w Niemczech amerykański fizyk Samuel Goudsmit skierował do Walthera Gerlacha, członka prezydium Niemieckiego Towarzystwa Fizycznego, list, w którym pisał: „Pragnę poinformować Pana, że rezygnuję z członkostwa Niemieckiego Towarzystwa Fizycznego. Jestem rozczarowany, że Towarzystwo nigdy, jako całość, nie zaprotestowało przeciwko brutalnym atakom na niektórych spośród jego wybitnych członków. Co więcej, niemiecki przyczynek do rozwoju fizyki jest dziś bardzo niewielki. Główny towar eksportowy Niemiec to propaganda nienawiści”.

Rzeczywiście, z dawnej świetności niemieckiej fizyki, przodującej w świecie w pierwszym ćwierćwieczu tego stulecia, pozostało w okresie hitlerowskim niewiele. Było to zapewne po części konsekwencją zapoczątkowanego już wcześniej, niezależnego od politycznych wydarzeń procesu stopniowego przejmowania hegemonistycznej roli w nauce przez kraje anglosaskie. Zwycięstwo narodowego socjalizmu proces ten jednak ogromnie przyspieszyło. Wypędzenie uczonych żydowskiego pochodzenia spowodowało dezorganizację toku nauczania na większości uniwersytetów; wiele stanowisk akademickich pozostawało przez lata nie obsadzonych; spadła liczba studentów; izolacja uczonych niemieckich wobec międzynarodowego środowiska naukowego sprawiła, że niemiecka fizyka stawała się coraz bardziej prowincjonalna. Szczególnie dotkliwie odbiło się to na rozwoju fizyki teoretycznej, która zdecydowanie podupadła.

Na regres w dziedzinie badań teoretycznych miała niewątpliwie wpływ krzykliwa kampania, prowadzona przeciwko teorii względności i mechanice kwantowej przez twórców i propagatorów „aryjskiej fizyki”. Ci ostatni pomimo taktycznych porażek, jakich w latach 1936-1939 doznał Johannes Stark, nie od razu przestali być groźni. Próba sił między poplecznikami Starka a „centrum” — wygraną jeszcze przez „aryjskich fizyków” — stała się sprawą obsadzenia zwolnionego w 1935 r. przez Arnolda Sommerfelda stanowiska kierownika katedry fizyki teoretycznej na Uniwersytecie Monachijskim. Środowisko naukowe popierało kandydaturę Wernera Heisenberga, jednak frakcja narodowosocjalistyczna zdołała przeszkodzić jego nominacji i przeforsować w 1939 r. własnego kandydata, Wilhelma Müllera,

który w dziedzinie fizyki nie miał żadnego twórczego dorobku.

Nominacja Müllera oznaczała praktycznie likwidację jeszcze jednego ośrodka badawczego. Groźniejsze jednak mogły okazać się pośrednie konsekwencje prowadzonej przeciwko Heisenbergowi kampanii oszczerstw. Artykuł, który ukazał się w organie SS „Das Schwarze Korps”, zawierał zakamuflowaną groźbę uwięzienia uczonego w obozie koncentracyjnym jako ideologicznego wroga narodowego socjalizmu. Sytuacja była na tyle alarmująca, że Heisenberg w odruchu samoobrony zdecydował się na krok rozpaczliwy — próbę uzyskania protekcji samego Himmlera. Było to o tyle ułatwione, że obaj pochodzili z Monachium i rodziny ich znały się. W połowie 1937 r. matka Heisenberga złożyła wizytę starszej pani Himmler, od której uzyskała zapewnienie, że „jak tylko mój Heinrich dowie się o tym (atakach na Heisenberga), na pewno natychmiast coś w tej sprawie zrobi”. Dzięki tej interwencji niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Fizycy, pragnący bez zakłóceń kontynuować w Niemczech hitlerowskich swą naukową i dydaktyczną działalność, nie mieli więc, jak widać, łatwego życia. W kraju pozostało jednak wielu wybitnych uczonych i nie można powiedzieć, aby w okresie Trzeciej Rzeszy nie dokonali oni niczego na polu nauki. W odróżnieniu od socjologii i filozofii w dziedzinie fizyki w Niemczech hitlerowskich prowadzone były nadal rzetelne i często odkrywcze badania. W berlińskim laboratorium Otto Hahna odkryte zostało w 1939 r. zjawisko rozszczepienia jąder uranu; prace Walthera Bothe na uniwersytecie w Heidelbergu doprowadzić miały w przyszłości do zbudowania pierwszego europejskiego cyklotronu; Heisenberg prowadził w Lipsku badania nad promieniowaniem kosmicznym, Carl von Weizsäcker zaś nad ewolucją gwiazd. Badania te nie budziły większego zainteresowania władz, jednocześnie jednak fizykom — szczególnie po zneutralizowaniu w 1940 r. wpływów Starka, Lenarda i ich zwolenników — pozostawiono znaczną swobodę działania. Ale została ona okupiona kompromisem. Należący do „centrum” fizycy, podobnie jak cały odłam środowiska naukowego nie utożsamiający się z celami czy metodami narodowego socjalizmu, zrezygnowali z wywierania jakiegokolwiek wpływu na politykę państwa. Dla wielu z nich był to niewątpliwie kompromis bolesny.

W tym miejscu czas powrócić do pierwszej części listu Goudsmita, zawierającej moralną ocenę poczynań niemieckich fizyków w okresie hitlerowskim. Goudsmit, zarzucając im godny potępienia konformizm wobec reżimu, nie był w swej opinii odosobniony. Jest rzeczą nieco paradoksalną, że właśnie fakt, iż ci niemieccy fizycy, którzy pozostali w Rzeszy, nie padli ofiarą masowych prześladowań, a nawet zdołali uchronić coś niecoś ze swych zawodowych wartości, stał się podstawą do oskarżenia ich o współudział w zbrodniach dokonanych przez hitlerowską dyktaturę. Ich „poświęcenie” w imię ratowania nauki okazało się w gruncie rzeczy daremne.

Czy rzeczywiście zasłużyli na potępienie? Jest to problem zbyt poważny i kontrowersyjny, aby rozstrzygnąć go jednym kategorię słowem. Mam oczywiście na myśli nie postawę Starka, Lenarda i innych narodowych socjalistów z grona fizyków. Światowa opinia publiczna oceniła ich jednoznacznie. Chodzi mi jednak o tę „milczącą większość”, która nie opowiedziała się zdecydowanie po stronie Hitlera i która pomimo rozmaitych szykan i trudności nadawała jednak ton fizyce w Trzeciej Rzeszy.

Aby zrozumieć zachowanie się tego „centrum” w czasach hitlerowskiej dyktatury, trzeba cofnąć się nieco wstecz, przynajmniej do lat Republiki Weimarskiej. Był to w Niemczech okres upadku autorytetu władzy, czas społecznych niepokojów. Tradycyjnie konserwatywne środowisko akademickie nie darzyło republiki zbyt dużą sympatią i wielu uczonych obciążało ją odpowiedzialnością za upadek nauki. Wspominając wczesne lata trzydzieste Werner Heisenberg pisał o radykalizacji politycznej zarówno prawicy, jak lewicy, o przybierającej na sile walce, wobec której pragnął jedynie zachować wyniosłą bezstronność. Była to postawa dość typowa. Kiedy hitlerowcy doszli do władzy — pozorna legalność reżimu narodowosocjalistycznego dostarczała uczonym dodatkowego moralnego alibi — znaczna część środowiska naukowego przyjęła ten fakt z ulgą. Max Planck na przykład obserwując sukcesy nowych władców Niemiec łudził się, że ciężar spoczywającej teraz na nich odpowiedzialności przyniesie im otrzeźwienie i umiarkowanie.

Kiedy stało się oczywiste, że rachuby te zawiodły i że w życiu społeczno-politycznym Niemiec nastąpiło coś nieodwracalnego, okazało się, że środowisko naukowe jest zbyt słabe, aby stawić czoło władzy nawet w kwestiach żywotnych dla samej nauki. Kilka nieśmiałych akcji protestu, takich jak „list 28” w obronie zdymisjonowanego Couranta czy obchody rocznicy śmierci Fritza Habera, miało jedynie symboliczne znaczenie. Wkrótce początkowo dość powszechna postawa „cichego przyzwolenia” ustąpiła miejsca wyobcowaniu. Przyjmowało ono oczywiście rozmaite formy u różnych uczonych. Planck i Heisenberg uważali, że obowiązkiem

ich jest ratowanie tego, co jeszcze można uratować — przechowanie tradycyjnych wartości naukowych i kształcenie przyszłego pokolenia niemieckich fizyków. Wymagało to unikania otwartej konfrontacji z władzą, ustępstw i elastyczności. Obaj ci uczeni — i nie tylko oni — uważali emigrację raczej za formę dezercji niż skutecznego protestu. Heisenberg wspominał później z pewną moją przesadą, że „niemal zazdrościł swym przyjaciółmi, których siłą pozbawiono podstaw do dalszego pozostawania w Niemczech, tak że wiedzieli, iż muszą opuścić kraj”.

Również Walther Gerlach, Wilhelm Wien i Carl Bosch mogą być uważani za krytyków systemu. Była to jednak krytyka ograniczona wyłącznie do ich zawodowej dziedziny. W swych listach i raportach wskazywali na fatalne skutki militarystyki życia akademickiego, spadek autorytetu pochodzących z politycznej nominacji dyrektorów instytutów itd. Mówiąc krótko, występowali oni w obronie autonomii nauki, domagając się uniezależnienia jej od polityki krytykowali pośrednio cały totalitarny system władzy.

Radykalnymi przeciwnikami narodowego socjalizmu byli Otto Hahn i Max von Laue. Ten pierwszy zdecydował się na „wewnętrzny emigrację”, nie próbując nawet stwarzać pozorów lojalnej współpracy z reżimem. Był to jednak protest bierny. Max von Laue w swej opozycji wobec hitlerizmu posunął się dalej. Otwarcie krytykował władzę, utrzymywał bliskie stosunki z żydowskimi przyjaciółmi, którzy pozostali w Niemczech, pomagał uchodźcom urządzić się za granicą. Dlaczego pozostał w Niemczech? Max von Laue jako jeden z nielicznych w swym środowisku był przekonany o nieuchronnym upadku Trzeciej Rzeszy i chciał być na miejscu, by móc uczestniczyć w kulturalnej rekonstrukcji kraju, jaka po tym upadku nastąpi. W 1937 r. wysłał swego syna do Ameryki, a gdy sam odwiedził ją na krótko przed wybuchem wojny, żegnając się z Einsteinem powiedział: „Nienawidzę ich tak bardzo, że muszę być blisko nich”.

Margines swobody, jaki państwo hitlerowskie pozostawiło uczonym uprawiającym fizykę, był więc znacznie szerszy od tego, w którym zmieścić się musieli socjolodzy i filozofowie. Nieprawomyślni fizycy nie byli zmuszeni — tak jak nie godzący się z systemem przedstawiciele „nauk duchowych” — do „pozostawienia w zawieszeniu wszystkich możliwości myślenia i poznawania, stanowiących narzędzie ich egzystencji”. W rezultacie wszystkie ich poczynania nosiły szczególnie głębokie piętno moralnej dwuznaczności.

Po wojnie Max von Laue pisał w liście do syna, że boleśnie dotknęły go oskarżenia pod adresem tzw. „uczciwych Niemców”, jakoby nie spełnili swego moralnego obowiązku przeciwstawienia się Hitlerowi — czego dowodem jest fakt, że przeżyli. Rozumowanie takie — twierdził von Laue — jest bezsensowne. Otwarty protest byłby równoznaczny z samobójstwem, a zatem bezcelowy. Jedyną nadzieję narodu niemieckiego w okresie hitlerowskiej dyktatury — twierdził von Laue — stanowić mogli ci, którzy działali pragmatycznie zgodnie z zasadą: „ucz się siedzieć cicho i nie eksplodować”. Ta filozofia przetrwania miała co najmniej dwa słabe punkty. Po pierwsze, oznaczała ciche przyzwolenie na zbrodnię, a w razie globalnego zwycięstwa hitlerizmu nie powstrzymałaby, rzecz jasną, „opozycyjnych” uczonych od pełnego skorzystania z owoców tego zwycięstwa. Co więcej, gdyby wyniki prowadzonych przez nich badań naukowych miały okazać się użyteczne dla celów militarnych, nie zawahaliby się przekazać swych dokonań do dyspozycji władzy. Po drugie, von Laue dyskretnie przemilcza fakt, że reżim hitlerowski nie spadł na Niemcy z nieba, nie był dopustem bożym, tylko narodził się i dojrzał na oczach niemieckich intelektualistów, którzy przyglądali się rozwojowi wydarzeń w najlepszym razie ze zgrozą i obrzydzeniem, lecz nie zrobili nic, by ich bieg odwrócić.

Można przyjąć argument, że po umocnieniu się hitlerowców u władzy otwarci krytycy systemu narażali się na śmiertelne niebezpieczeństwo, i nie należy się dziwić, że wśród uczonych zabrakło bohaterów i męczenników. Nie można ich jednak całkowicie rozgrzeszyć z tego, że dopuścili do przejścia przez narodowych socjalistów steru rządów. Jest to — w moim przekonaniu — sprawa o kapitalnym znaczeniu, gdyż tej winy nie można rozpatrywać w kategoriach jednostkowych postaw — była to zbiorowa wina całego środowiska.

Stanowisko niemieckich uczonych, w klasyczny sposób reprezentowane przez Plancka i Heisenberga, znajdowało swe moralne uzasadnienie w przekonaniu, że służba dla państwa nie jest tożsama ze służbą dla jego aktualnego rządu. Programowa „apolityczność” stanowiła fundamentalny wręcz element etosu niemieckiego uczonego z początków XX w. Jego tradycyjny system wartości — jak zwrócił mi uwagę Stefan Amsterdamski — ukształtowany był w znacznej mierze pod wpływem dziewiętnastowiecznego scjentyzmu, głoszącego, że „poznanie naukowe jest dobrem samym w sobie i kodeks etyczny uczonego sprowadza się w gruncie rzeczy do wierności wobec przyjętej metodologii. Scjentyzm nie był zjawiskiem

specyficznie niemieckim, lecz filozofią o uniwersalnym zasięgu. Szczególne okoliczności sprawiły jednak, że „apolityczność” niemieckiego środowiska akademickiego miała dość swoisty charakter. Po pierwsze, była to apolityczność silnie zabarwiona nacjonalizmem. Niemiecki model nauki miał pruską proveniencję. Przeprowadzona w tym kraju na początku XIX w. reforma akademycka, która z czasem doprowadziła do światowej dominacji niemieckiej nauki, była reakcją na wojny napoleońskie i dostarczyła swego rodzaju rekompensaty za polityczną i militarną klęskę Prus. Sukcesy tej nauki stały się z kolei w okresie kształtowania się państwowości niemieckiej jednym z elementów budujących dumę i poczucie narodowej tożsamości. W rezultacie nacjonalizm nie był sprzeczny z kodeksem etycznym niemieckiego uczonego, ale wręcz stanowił cnotę.

Po drugie, apolityczność ta była konserwatywna. W „złotym wieku” niemieckiej nauki profesor wyższej uczelni miał godny pozazdrośczenia status materialny i cieszył się wysokim prestiżem społecznym. W przekonaniu niemieckiego środowiska akademickiego, stanowiącego — według określenia Fritza Ringera — kastę mandarynów, obowiązująca umowa społeczna nie wymagała korekty, a sukcesy niemieckiej nauki dowodziły, że jest to umowa racjonalna.

W niespokojnych czasach Republiki Weimarskiej sympatie środowiska naukowego kierowały się zatem raczej ku narodowym socjalistom niż ruchowi komunistycznemu. Jeśli uczeni, łamiąc swój kodeks moralny, angażowali się w działalność polityczną, to raczej opowiadali się po stronie konserwatywnej i nacjonalistycznej prawicy. Centrum, reprezentujące orientację liberalno-mieszczańską, zachowało dystans wobec aktualnych wydarzeń. Do tego stopnia, że nawet tak wybitny badacz ideologii, jakim był Karl Mannheim, jeszcze w 1932 r. opowiadał się za tym, by uprawianie „wiedzy o współczesności” (*Gegenwartskunde*) pozostawić „prawnikom, dziennikarzom i nauczycielom”, za zadanie socjologów uważając przede wszystkim „wewnętrzne ugruntowanie dyscypliny oraz kształcenie studentów”. Wśród fizyków, rzecz zrozumiała, postawa taka była jeszcze bardziej typowa.

Fizycy niemieccy w większości nie byli więc ludźmi bez zasad czy politycznymi tchórzami. Z reguły postępowali zgodnie z przyjętym przez środowisko systemem wartości. Ten jednak w konfrontacji z totalitarną dyktaturą okazał się zbyt wąski i anachroniczny. Mógł poprawnie funkcjonować w ramach dawnej umowy społecznej, w ustabilizowanym państwie o trwałych społecznych podziałach funkcji poszczególnych grup. W warunkach, gdy wiadomo było, że grubsza przynajmniej, co wolno rządowi, a co społeczeństwu. Hitlerowcy złamali tę umowę, natrafiając na zadziwiająco słaby opór. Sami nawet wydawali się zaskoczeni biernością swych ofiar ze środowiska akademickiego, interpretując ją jako dowód degeneracji. „Wewnętrznie zdrowe instytucje — stwierdził przywódca hitlerowskiej organizacji studenckiej, której polecono opanować uniwersytety — zupełnie tak samo jak zdrowi ludzie, zachowują się w chwilach zagrożenia agresywnie lub obronnie, w każdym razie aktywnie”.

Zapewne obronne czy nawet agresywne zachowanie środowiska naukowego wobec sięgających po władzę hitlerowców nie zdołałoby odwrócić biegu historii. Przywiązana do swych profesjonalnych systemów wartości elita intelektualna Niemiec nie była zdolna do integracji i zorganizowanego działania politycznego.

*

Tekst pochodzi ze zbioru *Oblicza nauki* (Warszawa 1986). Publikacja w *Racjonalist* za zgodą Autora.

Krzysztof Szymborski

Historyk i popularyzator nauki. Urodzony we Lwowie, ukończył fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Posiada doktorat z historii fizyki. Do Stanów Wyemigrował w 1981 r. Obecnie jest wykładowcą w [Skidmore College](#) w Saratoga Springs, w stanie Nowy Jork.

Jest autorem kilku książek popularnonaukowych (m.in. ["Na początku był ocean"](#), 1982, ["Oblicza nauki"](#), 1986, ["Poprawka z natury. Biologia, kultura, seks"](#), 1999). Współpracuje z "Wiedzą i Życie", miesięcznikiem "Charaktery", "Gazetą Wyborczą", "Polityką" i in.

Dziedziną jego najnowszych zainteresowań jest psychologia ewolucyjna, nauka i religia. Częstym wątkiem przewijającym się przez jego rozważania jest pytanie o wpływ kształtowanych przez ewolucję czynników biologicznych i psychologicznych na całą sferę ludzkiej kultury, a więc na nasze zachowania, inteligencję, życie uczuciowe i seksualne, a nawet oceny moralne.



[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 03-12-2004)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3799) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3799>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl